czta opłacona ryczałtem. № 102. Rok IV. Warszawa, 20 Stycznia 1927 r.

PRO PATRIA

ORGAN INTELIGENCJI MONARCHISTYCZNEJ

wychodzi 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Król—Rada Państwa—Sejm z przedstawicieli korporacji.

Redakcja i Administracja Warszawa, Traugutta 3. Telefon 40-39. | Redaktor przyjmuje: codziennie od 12—1 p.p. | Prenumerata wynosi: Miesięczn. zł. 1.50 Kwart. zł. 4. Półrocz. 8. Weterani, inwalidzi, emeryci i ucząca się młodzież przy opłaceniu bezpośred.—płacą połowę. Prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe, kioski miejskie Tow. „Ruch", lub można ją wpłacać na konto czekowe w P.K.O. Nr. 88 01. | Numer pojed. 50 gr.

DZIAŁ POLITYCZNY pod kierownictwem **Olgierda Gordziałkowskiego.**

DZIAŁ FILOZOFICZNY, ESTETYCZNY i LITERACKI pod kierownictwem **Ignacego Oksza-Grabowskiego.**

REDAKCJA I DZIAŁ EKONOMICZNY pod kierownictwem **Henryka Olszewskiego.**

P. minister Zaleski wypowiedział się kategorycznie o nietykalności granic Polski. Dobre jest, aby Goliat wiedział, że Dawid będzie się bronił. O to chodzi.

ALE NIE ROZUMIEJĄ... (MENTE CAPTI?).

Obronić się przed nawałą krzyżacką Polska może nawet sama, zważywszy, że fortuna variabilis a Deus mirabilis, ale trzeba rozstać się z demagogją (niezgodą wewnętrzną) i z instytucjami, które są tej demagogji piastunami, wychowawcami i strażnikami. Mikołaj Kopernik w swoim traktacie (cytowanym często przez światową publicystykę) podaje cztery przyczyny zguby narodów i państw, mianowicie: 1) niezgoda, 2) niezdrowie fizyczne, 3) brak produkcyjności, to jest pracy, 4) zła moneta. Z tych czterech niezgodę postawił na pierwszem miejscu. Pisał rzecz w XVI stuleciu, nie wiedząc jeszcze, jak późniejsze dzieje Polski tezę jego stwierdzą.

Ale teza ta przez ustroje republikańsko - demokratyczne musi być na indeksie i jest potępiona, jako reakcja. Jeżeli ktoś postanowił sobie chodzić na głowie, niema nań innego sposobu, jak pozwolić mu na tę ekwilibrystykę, dopóki się nie zmęczy, co zresztą bardzo szybko nastąpi. Ale może dostać zapalenia mózgu.

Źródłem demagogji, źródłem tak stwierdzonem, jak bagniska dla miazmatów i chorób zaraźliwych,—są partje polityczne. W tem położeniu żałosnem, jak nasze, jednakże śmiech ogarnia i zniewala do podania, jako dokumentu czasów, że np. w mieścinie Pruszkowie przy wyborach do municypalności staje 12, wyraźnie dwanaście list wyborczych.

Właściwie jest to robota t. zw. inteligencji. Prawdziwy, gospodarczy lud, to jest $^{8}/_{4}$ narodu polskiego, jest poza niezgodą. Przyjedzie do chłopa komunista i powie: „weź ziemię, jaka ci się podoba". Chłop nabierze chorobliwego apetytu. Przyjdzie dziś monarchista i powie: „weź króla i porządek, a możesz się dorabiać, jak chcesz". Chłop nabiera zdrowego apetytu. Przyjdzie doń partyjnik i mówi: „wybierz mnie, a zrobię ci raj na ziemi". Chłop nie wierzy w żaden raj na ziemi, nie nabiera żadnego apetytu, lecz mu na myśl przychodzi, że za „cesarzów" było lepiej i wzdycha.

Więc walna batalja o sanację „niezgody" powinna być stoczona na gruncie włościańskim pomiędzy dwiema rzeczami: pomiędzy zachęceniami komunistów (ewentualnie i ich rodzonych braci socjalistów), a zasadą narodową i państwową monarchistów. Jest to jasne.

Ale w tych czasach bezprawia i zarazem trwogi, nie wszystko co jest jasne, jest ujmowane jasno.

Zdawałoby się, że gdy poseł, p. Ćwiakowski, idzie na wieś z programem antidemagogicznym porządku państwowego, z wieściami nawskroś umoralniającemi i zwalczającemi wszelkie uwodzicielstwa i kłamstwa, narzucone włościaństwu przez konieczność licytacyj wyborczych pomiędzy stronnictwami, gdy z fałszywego Piasta demokratycznego chce zrobić rzeczywistego Piasta Królewskiego, zdawałoby się, że taka akcja powinnaby się spotkać z entuzjazmem wszystkich sfer, niemających ochoty stracić resztek mienia, mocno naruszonego już przez długotrwały bezład polityczny, a zatem i ekonomiczny i społeczny. Z entuzjazmem i z wszelką pomocą materjalną, niezbędną do prowadzenia wielkiej walki o porządek.

Daleko do tego. Zaledwie drobna garść ziemian i wogóle zdrowego elementu konserwatywnego stanęła przy p. Ćwiakowskim. Reszta jest jeszcze w inwentarzu różnych stronnictw demokratycznych, to jest radców poczciwych panów radców, albo zakłada nowe i liczne „konserwatywne" kanapki, podobnie jak ludność miasteczka Pruszkowa.

Zapewne i dlatego tak piszemy. Śród tych ludzi konserwatywnych jest wiele z pięknych starych fresków, jak na zamku Wawelskim, zasmarowanych tynkiem. Więc jeżeli mularz z Częstochowy, t. j. dr. Ćwiakowski podjął się, jako młody majster, ten tynk odskrobać bez uszkodzenia fresków, to nie należy drwić z Częstochowy, bo ona jedna i pierwsza odpędziła generała Millera. Nie można temu zaprzeczyć. Tak było. Odpędziła wtedy, gdy dostojnicy Polski wikłali się w układach dyplomatycznych.

Na kim oprzeć się chcą szlachetni kasztelanowie, podkomorzowie, miecznicy, podczaszowie i podstolowie? Czy na rządzie, który sam poszukuje oparcia, będąc w konkubinacie z towarzyszką socjalistyczną, której wymaganiom wygórowanym żaden amant w świecie nie jest w stanie dogodzić?

Strzeżcie się! Wieje zdradliwy wiatr z Locarno.

Jeżeli generał Miller i nie odważy się jeszcze pójść wstępnym bojem na wyprawę, to nasłać może takich emisarjuszów, którzy z dymem puszczą resztki waszego mienia.

Apetyty mas są zawsze jednakie: zarazem i złe i dobre. Albo, albo.

Red.

BIEG POLITYKI.

Ptasznicy.

(Quasi bajka).

Pan Minister dawał instrukcje dwum mężom zaufania, członkom Reichstagu, panu Sturm i panu Drang:

— Przy naszych działaniach w stosunku do Polski, musicie panowie rozumieć jedną rzecz zasadniczą. Polacy składają się z dwóch rodzajów głupców: jedni, którzy się wszystkiego boją i drudzy, którzy się niczego nie boją. Niema tam właściwie żadnych innych partyj, tylko te dwa wielkie stronnictwa. Z tego wypływa nasz podział pracy.

— Pan, panie Sturm, będzie straszył. Pańskie mowy, a potrafimy zrobić z pana powagę i człowieka miarodajnego w opinji zagranicznej, rozsyłane przez ajencje telegraficzne, niechaj mówią, że gotowiśmy zmasakrować to sezonowe państewko za lada powiewem. Niechaj skóra ścierpnie na rycerzach trwogi. Sparaliżuje to ich wszelką działalność ku wzmocnieniu porządku wewnętrznego. Na wszystko się zgodzą.

— Pan zaś, panie Drang, zrobisz penetrację pacyficzną, będziesz podróżował po Polsce, zachwycał się wielkiemi postępami tego kraju i wzmacniał głupotę rycerzów bez trwogi, którzy staną się w ten sposób naszymi najlepszymi sojusznikami najtańszymi, bo nie będą kosztować, będą wołami bez siana, lokomotywami bez węgla.

W taki sposób wszelka możliwość sensownego narodowego ruchu w tym kraju będzie zatamowana. Upieką się sami.

— Genial! Excellenz.

— Dummköpfe! to napisano już przez Henryka Ptasznika, który budował klatki.

Gazety włoskie piszą, że w Moskwie na przedstawieniu w teatrze sztuki „Turbin", ukazały się na scenie dawne mundury oficerskie z pełnością szlif i orderów i że śpiewano hymn „Boże Carja chrani". Publiczność cała powstała z miejsc i zaczęła płakać. Jeżeli to prawda, rzeczy idą szybko i logicznie. Zważmy, że rząd bolszewicki jest to Rada Absolutystyczna, rządząca bez żadnych parlamentów, że z wyjątkiem granic zachodnich utrzymali jedność państwa i że przejście od tego stanu do Caryzmu jednoosobowego jest nadzwyczaj łatwe.

Podobnież ze zrozumiałą konsekwencją dziejową, Niemcy podminowują traktat wersalski. Żadne rozumowania nie zmienią faktu, że 1) okupacja Nadrenji, przedłużająca się, jest sposobem politycznym zupełnie nieudanym, że 2) resztka niemiecka Austrji będzie dążyła do Reichu i zasadą Wilsonowską trudno jej tego wzbronić, że 3) dezorjentacja republikańskiej dyplomacji francuskiej nastraja Niemców na ton, jeszcze wyższy od Bismarckowego, bo jeżeli przegranie wojny jest nieszczęściem wypadkowem, to przegranie pokoju jest objawem słabości organicznej rządu. Polska również często wygrywała wojny, a przegrywała pokoje.

Zdawałoby się, że wypadki w Chinach i wogóle w Azji, grożące najczulszemu miejscu Anglji, t. j. jej handlowi i to w chwili, gdy budżet państwa jest bardzo niepomyślny, wiążą chwilowo interes Anglji z interesem Polski. Przykład tych nieszczęsnych Chin, które od czasu zaprowadzenia republiki nie miały ani jednego dnia spokoju, jest dla historyka i polityka bardzo budujący. Ruch antieuropejski w Chinach, podgrzewany całą parą bolszewicką, nabrał w ostatnich czasach charakteru bodaj definitywnego. Włochy faszystowskie, górujące nad innemi państwami zdrowym rozsądkiem, zgłosiły co do Chin zupełne tak zwane desinteressement, to znaczy: „ślizgaj się, kto chce, ja poczekam". Wolą konstruować aeroplany.

Ale są załatwienia interesów i załatwienia. Czego będzie chciała Anglja od Polski? I co jej za to da? Punkt ciężkości polega na punktach merytorycznych.

W Ameryce wolny naród Waszyngtona rozciąga doktrynę Monroego (Pan-Ameryka — Pan-Europie niemieckiej) na Meksyk, Nicarague i t. d. Rozpoczyna się walka na dobre pomiędzy Purytanją dolarową, a cywilizacją łacińską.

Zresztą w różnych miejscach Europy odbywają się rauty pacyfistyczne. Przypomina to pewną zabawną scenę handlową. Pewien dostawca przywiózł zboże kiepskie, a gdy wysypywano je z worków, zabawiał odbiorcę anegdotami o ptaszkach niebieskich. Jednakże wkońcu odbiorca się zorjentował i dostawcę wpakowano do kryminału.

Ma być utworzone nowe Ministerjum Poczt i Telegrafów. Dla kogo? Komu potrzebny ten wydatek? Przecież Polska ma już (wraz z biletami zdawkowemi) około 4 miljardów zł. długów, to jest cyfrę, równającą się dwuletniemu budżetowi.

Zarządzono aresztowania masowe komunistycznej organizacji, tak zwanych białoruskich „hurtków", z prowodyrstwem 5-ciu posłów sejmowych. Gazety przypisują rozwój tych organizacyj polityce byłego ministra, p. Młodzianowskiego. Jest teorja administracyjna nie tłumienia zła w zarodku, ale dozwalania, aby się zebrał wrzód, a potem odrazu, jak się mówi po rosyjsku, „nakryt'". Teorja ta jest zupełnie w guście liberalizmu i demokracji. Chirurgja pozytywna rozumuje inaczej: jeżeli palec zakażony, to należy go jaknajprędzej izolować od reszty ciała.

ZWIĄZKI TAJNE. 10)

„Czarna Magja (Nekromancja).

Po zniesieniu jawnego Zakonu Templarjuszów dalszy ciąg ich pojęć wraz z innemi różnemi praktykami, znanemi pod mianem Czarnej i Białej Magji, a przyniesionemi ze Wschodu, z alchemją i działaniami tak zwanych Różo-Krzyżowców, wypełnił następne stulecia dziejów Europy. Nie Kościół to Katolicki rozpowszechniał czary i zabobony, jak to niegodziwie i kłamliwie wmawia w ogół czytający wolnomyślicielstwo, ale te absurdalne praktyki płynęły ze starych źródeł azjatyckich, wspartych przez Kabałę, która w wydaniu książkowem ukazała się właśnie w XIV stuleciu. Nic więc dziwnego, że w dziedzinie magji, alchemji i medycynie średniowiecza rolę dużą, jeżeli nie główną, odegrali żydzi, doświadczeni w tych praktykach. Zanim umiejętności stanęły na gruncie eksperymentalnym i jawnym, jak obecnie, Europa była zalana przez praktyki tajne, przeważnie oddane spekulacji i oszustwu.

Magja (według Fludda) była Czarna i Biała.

Magja Czarna czyli Nekromancja, dzieliła się na następujące „nauki":

1) Goetika, czyli stosunek z djabłami, z obrzędami charakteru kryminalnego, ze sprośnemi pieśniami i zaklinaniami, z wywoływaniem demonów.

2) Malefika, czyli zaklinanie djabłów imieniem Bożem.

3) Theurgika, czyli dokonywanie cudów przy pomocy djabłów, biorących moc Boga i aniołów.

4) Thaumaturgika, czyli praktykowanie przez Magów zjaw i różnych dziwów.

5) Celestyka, czyli wiedza o działaniu ciał niebieskich, podstawa alchemji.

Czarna Magja sprowadza się poprostu do kultu djabła, czyli do Satanizmu. Satanizm ten w tamtych czasach przybrał nawet miano „starej religji". Czarownictwo nie występowało, jak wielu mniema, spontanicznie. Było ono profesją, uczoną w tajnych szkołach. Szkoły te istniały we Włoszech, w Austrji, w Czechach i t. d.

Eliphus Levi (chrzczony żyd), w swej „Historji Magji" określa:

„Czarna magja jest kombinacją morderstw i świętokradztw stopniowanych w celu trwałego zepsucia woli ludzkiej, oraz utrwalenia w żywym człowieku obrazu szatana. Jest to religja zła, nienawiść dobra podniesiona do paroksyzmu: Jest to inkarnacja śmierci i trwałe stworzenie piekła".

W taki sposób przedstawia sprawę i były wtajemniczony, słynny pisarz francuski Huysmans, w swej powieści „La bas". Chodzi głównie o znieważanie rzeczy najświętszej, to jest Przenajświętszego Sakramentu przy tak zwanych czarnych mszach. Odbywa się to i w XX stuleciu, jako „stara religja".

W r. 1440 odbył się we Francji wielki proces czarnoksięski przeciwko marszałkowi Francji, Gillowi de Rais. Był on mistykiem i towarzyszem Joanny d'Arc. Po wydaniu jej na spalenie, jak się domyślają, z rozpaczy stał się satanistą. Pod wpływem czarnoksiężników włoskich, Gilles de Rais napisał był do djabła, żądając od niego „wiedzy, władzy i bogactw", ofiarując wzamian wszystko, oprócz swego ciała i duszy. Gdy to pozostało bez skutku, oddał się najokropniejszym praktykom, mianowicie sadyzmowi połączonemu z rytualnemi morderstwami wielu setek małych chłopców. Powieszono go i spalono.

W Polsce, o ile chodzi o legendę, sprawa czarnoksiężnika Twardowskiego, jak wiadomo, przybrała ton humorystyczny. Djabła odpędziła pani Twardowska. Djabeł niby czmychnął, ale w XX stuleciu w całej okazałości powrócił.

Niema żadnej wątpliwości, że głównymi znawcami w sztuce czarnej magji byli żydzi, zaprawieni na Kabale, żydzi, którzy w omawianych stuleciach byli potęgą w Portugalji, Hiszpanji, Prowancji, we Włoszech, gdzie Izaak Luria założył szkołę (we Florencji) Kabalistyczna. Według doktryn tej szkoły, praktykowali Chassydzi wschodnio-europejscy system amuletów, zaklinań djabłów, mistycznych operacyj z literami i liczbami (Encyklopedja Żydowska). El. Lewi twierdzi, że kabaliści żydowscy byli instruktorami Gilles de Rais'a. Wolter pisze w Henriadzie: „zazwyczaj do operacji magicznych używano żydów; stare zabobony płyną z Kabały, której żydzi sami nazywają się depozytarjuszami; Katarzyna Medicis, marszałek d'Ancre i wielu innych używali ich do czarów".

Nie tylko Kabała, ale i Talmud jest nawskroś demonologiczny. Czytamy w traktacie Berakhoth:

„Gdyby oko mogło postrzedz demonów, zaludniających świat, istnienie byłoby niemożliwe. Demonów jest więcej, niż nas, otaczają nas, jak rowy winograd. Każdy z nas ma ich tysiąc po lewej ręce, a 10 tysięcy po prawej. Zaduch, jaki czują uczestniczący w konferencjach rabinicznych, pochodzi od demonów, które się tutaj wciskają śród ludzi. Znużenie, ogarniające nas przy chodzeniu, pochodzi stąd, że przy każdem stąpnięciu natrafiamy na demona. Jeżeli szaty rabinów wycierają się tak szybko, staje się to dlatego, że demony trą się o nie. Jeżeli ktoś zechce przekonać się o ich obecności, niechaj posypie naokoło łóżka przesianego miału z węgla i nazajutrz ujrzy odciski pazurów koguciech".

Stosunek Monarchizmu do Konserwatyzmu i Postępu.

Zasada monarchizmu jest czysto polityczną i jako taka jest ordynacyjną lub koordynacyjną w stosunku do takich zasad, jak konserwatywna lub postępowa, które są wobec niej subordynacyjne, to jest podporządkowane. Monarchizm może być w pewnym okresie zachowawczy, w innym postępowy, zależnie od jego celu głównego, to jest utrzymania państwa w porządku. Tak samo może być zachowawcza lub postępowa każda inna zasada lub forma ustrojowa, np. republikanizm. Znane są przecież w dziejach takie formy jak np. absolutyzm oświecony Fryderyka II, utożsamiony z postępem, lub republika Wenecka, utożsamiona z absolutnym arystokratycznym konserwatyzmem. Jest błąd i teoretyczny i historyczny w mniemaniu, że każda monarchja musi być konserwatywna, a każda republika—postępowa.

To co jest szczególowe, nie może definjować ogólnego.

Monarchizm może być nazwany zachowawczością tylko w stosunku do samego siebie, jako do principium jedności władzy i do tych zasad niezmiennych prawa wyższego Bożego, które są tej jedności władzy sankcją i źródłem. Jeżeli odstąpi choć na włos od tych fundamentów, kopie sobie niechybny grób. Pod maską zasady „wolności" rozsadzi go zasada możliwości władzy wieloosobowej albo zbiorowej. Innemi słowy konserwatyzm monarchizmu jest to konserwatyzm czysto polityczny, będący w stosunku przypadkowego utylitaryzmu do różnych konserwatywnych lub postępowych tendencji poszczególnych elementów życia społecznego. Z punktu widzenia swoich zadań musi bowiem uważać różne fragmenty zjawisk społecznych, jako sobie podporządkowane. W przeciwnym razie nie mógłby różnych rzeczy koordynować w całość, czyli musiałby narazić się na niebezpieczeństwo przewrotu.

Dalej — monarchizm nie może uważać pojęć „konserwatyzm" i „postęp" za zdatne do rzeczowego określenia, a zatem i do aplikacji, jako określonych zasad kierowniczych.

Bo, mówiąc ściśle, co właściwie różniczkuje konserwację a postęp? Jeżeli chodzi o ludzi, to ich temperament i energja. Natomiast rzeczową podstawą różniczkowania jest cel, mianowicie to a to trzeba zrobić, np. utrzymać w porządku to, co już jest, lub zadosyćuczynić nowej potrzebie koniecznej, która powstała. Pierwsza z tych czynności nazywa się konserwacją, druga — innowacją. Można powiedzieć, że zarówno konserwacja, jak innowacja, jest konserwacją kraju, jako całości, można powiedzieć, że obie są i postępem.

Otóż monarchizm jest kontrolerem, taksatorem i regulatorem zarówno konserwacji tego, co już jest, jak i tego, co się zamierza wprowadzić nowego. Musi to oceniać merytorycznie, to jest rzeczowo według klimatu kraju, nie według przygodnych wiatrów.

Również w stosunku już nie do celu państwowego, lecz do interesów i działań poszczególnych klas społecznych, zarówno konserwatyzm jak i postęp, nie dają się określić demarkacyjnie. Czy to w zawodzie rolniczym, czy przemysłowym, czy kupieckim jednostki energiczne rozumieją konserwację swego stanu posiadania, jako wymagającą różnych zmian, ulepszających i zgodnych z naturą rzeczy. Widzimy, jak przenikająca energja ludzka łączy zawodowców o interesach podobnych w związki i syndykaty, a to w celach konserwacji bytu przy pomocy sposobów, nastręczających się rozumowi. Monarchizm ma najwyższy interes popierania i oparcia się na tych grupach naturalnych i zdrowych, które, pochłonięte własną kompetencją, nie stają do rywalizacji z zasadą jedności władzy zwierzchniej.

Natomiast monarchizm zwalczać musi grupy pasożytnicze i zbędne, analogicznie do owadów lub grzybków szkodników na łanach zbóż żyjących. Wszystko jedno czy będą się one nazywały: konserwatywnemi, czy postępowemi, czy nacjonalnemi, czy socjalistycznemi, czy radykalnemi. Bo te przymiotniki są to tylko nazwy pretekstowe do działań anarchicznych przeciwko jedności władzy zwierzchniej. Te wszystkie, pozorami swej bezprzedmiotowości ideowej, wprowadzają tylko zamęt. Królewięta powstają przeciwko królom — oto wyraz odpowiedni, pozostawiony nam przez dzieje Polski, jeżeli wogóle chcemy z doświadczeń dziejowych korzystać, to są ludzie, którzy od każdodziennego wstania z łóżka chcą zacząć nać życie na nowo. I dla państwa jednakowo jest niebezpieczny, zarówno Szczęsny Potocki ze swoją kliką zachowawczą, jak i rewolucjonista z Honoratki warszawskiej ze swoim pędem demokratyczno-postępowo-demagogicznym.

Monarchizm, jako założenie zgodne z naturą stosunków ludzkich, stać na to, aby w działaniach swoich był logiczny, to znaczy zarazem w danym wypadku i realny. Muszę więc pytać konserwatyzmu: czym jesteś, co chcesz konserwować? Bo jeżeli chcesz konserwować brud, śmiecie nie bielić wapnem ścian, to hola, panie kochanku, musisz to robić w imieniu porządku. I monarchizm musi pytać „postępowca": „czym jesteś, czego chcesz, co zamierzasz wprowadzić?" Bo jeżeli chcesz rujnować budowle jeszcze zupełnie przydatne, wprowadzać nowe choroby, rekomendować tandetę, to hola, braciszku, tego nie będzie.

Odnosi się to zarówno do działań gospodarczych, a tembardziej jeszcze do działań duchowych, do kapitału kultury. Kapitałem kultury nazywa się tradycję. Tradycję tak samo, jak i rzeczy materjalne, należy konserwować i zarazem rozwijać. Tradycja to nie stagnacja: staw zamulony z wyziewami. Tradycja jest to korzeń wszelkiej twórczości ludzkiej — na wszelkich możliwych polach. Monarchizm strzeże jej, jak źrenicy swego oka.

A gdy na narody i na państwa przychodzą „morowe dziewice" już nie fizyczne, ale duchowe, gorsze, w postaci paranoi, czyli obłędów umysłowych, ogłupiających masy (np. dzisiejszy bolszewizm—internacjonalizm), to jedna tylko monarchja może stanąć w obronie narodu i państwa z banderą: „non possumus", przetrzymać zarazę, dzięki swej zasadzie jedności i ocalić całość od zagłady.

Bończa.

Szereg innych rzeczy podaliśmy już we wstępie o Kabale.

O ileż więc te czarownice i czarownicy z ludu, czy to w Polsce, czy w Niemczech, czy w Szkocji, czy gdzieindziej były produktem poglądów autochtonicznych? Stwierdza się ogromna zbieżność tych praktyk z pisanem słowem żydowskiem. Czarownice w Szkocji i we Francji przy procesach zeznawały, że djabły przychodziły do nich na noc. W księdze Zohar (traktat Bereschith) napisano, że do wszystkich mężczyzn we śnie przychodzą demony ko biece pod postacią ludzką, lecz bez włosów na głowie, do kobiet zaś djabły męskie (czyżby obecna moda ucinania włosów była w związku z taką demonologją?).

Czyż satanizm nie jest starą podstawą dzisiejszego „indywidualizmu" i „nadczłowieczeństwa?" Rzekomo w imię wiedzy, człowiek, wyszedłszy z równowagi intelektualno-zmysłowej, zarozumiały, a faktycznie bezsilny, rzuca się w otchłań praktyk satanicznych. „Stara religja" rzeczywiście. Jest to regressja.

Z drugiej strony liczne procesy w różnych czasach o morderstwa rytualne, praktykowane przez żydów, mogą znaleźć uzasadnienie w historycznie dowiedzionych obłędach i zboczeniach mistyczno-kabalistycznych. Żarliwość i bezwzględność zaprzeczania, uprawiana przez ogół żydowski solidarnie, w oczach ludzi zdolnych do bezstronności, musi być podejrzana. Żaden naród chrześcijański, ani nawet niechrześcijański, nie posunie się do twierdzenia, że śród niego nie mogą powstać najokropniejsze natury zboczenia i przestępstwa. Jedni żydzi wyłączają się poza zasadę objektywizmu. I to zdaje się kwalifikować ich specjalną niższość intelektualną i moralną. I w tym swoim charakterze nie tylko ukrzyżowali Chrystusa, ale w swoich księgach religijnych dają specjalny upust nienawiści do podmiotu swej zbrodni. Ani zastanowienia się, ani wyrzutów sumienia niema.

(D. c. n.). *Videns.*

Operacje.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn. schwytano jednego z Rotszyldów na olbrzymiej kontrabandzie spirytusem. Bal sama stolica „Wolnej ojczyzny Waszyngtona" New-York liczy 2.500.000 żydów.

Bolszewik Krasin pozostawił po śmierci 3.000.000 funtów szterlingów. Bodaj to interes na „proletarjacie". Czem się w istocie swej różni handel demokracją i socjalizmem od handlu żywym towarem. I to i to żywy towar.

Inflacyjna operacja Niemców w latach 1921—1923 okazała się chef d'oeuvre. Drukowali marki wagonami, wiele z nich z datą 1910 r., wywozili i sprzedawali we Francji, Belgji, Ameryce, Anglji za dolary, szterlingi, papiery wartościowe oparte na złocie, trzymając to w bankach zagranicznych. Sprzedali wcale dobrze takich marek 140 miljardów—osiągając na monecie parytetowej 40 miljardów. Za to postawili potem Rentenmark. Dzisiaj Niemcy stoją finansowo najlepiej ze wszystkich krajów kontynentu Europy.

Niemcom zapłaciła inflację zagranica. Rząd polski zmarnował własnych obywateli.

Figury Bolszewickie

(według książek gen. hr. Czerep-Spirydowicza p. t. „Bolszewizm rosyjski").

4. Bronsztajn-Trockij.

Ten bandyta sprawił pochłonięcie większości mieńszewickiej przez mniejszość bolszewicką.

W lutym 1915 r. Lenin zwołał w Bernie pierwszą konferencję międzynarodową przedstawicieli rosyjskich organizacyj bolszewickich, znajdujących się poza Rosją. Zdecydowano tam zrobić wszelkie wysiłki do propagandy defetyzmu w armji rosyjskiej. Wydać broszurę specjalną o wojnie w sensie bolszewickim, wydawać częściej pismo „Socjal-Demokratę" i rozpowszechniać to zarówno w obozach jeńców rosyjskich w Niemczech, jak i na froncie w armji.

W porozumieniu z niemieckim Sztabem Generalnym Lenin, poszedł dalej. Już we wrześniu tegoż roku zwołał słynną Konferencję w Zimmerwaldzie z uczestnictwem przedstawicieli partyj socjal-demokratycznych i partyj socjal-rewolucyjnych różnych krajów.

Druga konferencja, ciąg dalszy tamtej, odbyła się w kwietniu 1916 r. w Kienthal (obie w Szwajcarji), gdzie było 40 delegatów socjalistów z Niemiec, z Włoch, z Serbji, z Francji, z Szwajcarji i t. d.).

Przy otwarciu tej konferencji, Lenin zaprotestował przeciwko obecności mieńszewików, iż ci zbliżyli się do socjal-patrjotów. Delegat mieńszewicki Cederbaum (Kartow), dowodził energicznie, że jego partja jest dostatecznie „defetystyczna" i incydent na tym zakończono.

Trockij-Bronsztajn w tej dobie nie tylko nie był bolszewikiem, ale był uważany za przeciwnika Lenina, lecz już przed wojną wstąpił był do służby szpiegowskiej austrjackiej. Zbliżył go do Lenina defetyzm i wzgląd na sytuację Rosji, jako państwa wojnę prowadzącego. Innemi drogami obaj z Leninem szli do jednego celu.

Z wybuchem wojny Bronsztajna władze austrjackie uwięziły, lecz wypuszczony wkrótce, dostał się do Zurichu.

Wyjaśnienie naszych programowych tez politycznych.

(Patrz № 63 „PRO PATRIA").

TEZA VI.

Król w wykonaniu prawa zwierzchniego sprawuje władzę, to jest rządzi przy pomocy obywateli kompetentnych.

Chociaż przymioty lub wady osobiste króla mogą nieraz ważyć na szalach dziejów, ale rozumie się to głównie w tem znaczeniu, jak pomyślne lub niepomyślne warunki atmosferyczne wpływają na urodzaj w pewnym roku. Kapitalną zaś korzyścią dla narodu jest to, że król wogóle jest, jako stały punkt oparcia dla idei porządku, która, biorąc politycznie, jest ważniejsza nawet od idei sprawiedliwości, bo niesprawiedliwość dotyka tylko pewne części narodu, nieporządek zaś wszystkich. Znużeni, zmaltretowani przez anarchję ludzie, uciekają się nawet pod opiekę tyranów, poczem pokrzepieni już dobroczynnością pewnego porządku, szukają sprawiedliwości i tyrana zabijają.

Normalnie osoba króla powinna być w milczeniu i w cieniu wyższości. Jak matka pszczela w ulu, niewolnica swego mandatu przyrodzonego. Nie jest jej zadaniem robić miód bezpośrednio. Jest od czego innego. Rozumieją to dobrze ludzie wysokiej kultury włoskiej, kultury harmonji. Nadzwyczajny genjusz Mussoliniego bynajmniej nie zaćmiewa królewskości Wiktora Emanuela. Mussolini, to Mussolini, il Duce, wódz, Wiktor Emanuel—to Sa Maesta, il Re, Jasność, Król. Nie jest to dualizm władzy suwerennej, co byłoby klęską polityczną, ale uzgodnienie hierarchji-ratione ordinis.

Zadaniem głównem króla w praktyce jest dobrać i przelać władze funkcyjne na pomocników kompetentnych. Wielkie indywidualności na tronach nie były najlepszymi królami. Ponosiła ich władza, rządzili za bezpośrednio, tracili perspektywy i związek z rzeczywistością. Najlepszymi królami zawsze byli ludzie z taktem dobierania dobrych pomocników i bronienia ich od zarzutów nieusprawiedliwionych lub niekompetentnych.

Pomocnicy królewscy w jego akcie rządzenia zawsze czasowi tylko i zmienialni, są dwojacy co do źródła mandatów:

1) ministrowie, których król sam dobiera, są oni przed nim jurydycznie odpowiedzialni, a król za nich odpowiada przed opinją narodu nie jurydycznie, bo jest suwerenem, lecz moralnie. Jest to odpowiedzialność wyższa, niż jurydyczna;

2) instytucja zbiorowa w postaci Przedstawicielstwa Narodowego, wybieralnego przez naród sam; członkowie tego przedstawicielstwa są odpowiedzialni jurydycznie przed wyborcami.

Ministrowie i przedstawicielstwo narodowe stanowią jedność rządu Jego Królewskiej Mości, którego Ten jest Głową. Nie są żadnem wzajemnem przeciwstawieniem, ani nawet korektywą, lecz z samego założenia jednością.

Zatargi mogą powstawać jedynie z nieścisłej kodyfikacji uprawnień funkcyjnych, nie z samej istoty rzeczy. Nie mówimy tu o zatargach przy przewrotach inscenizowanych przez interesy partykularne.

Taka jedność i nieprzeciwstawność elementów rządu, jest naczelną zasadą dobra narodowego. Senatus populusque romanus. Rzym starożytny rozumiał dobrze tę zasadę jedności.

Jedność rządu tkwi tak w naturze rzeczy, że gdy dawne monarchje padły, postawiono inną zasadę źródłową władzy zwierzchniej, mianowicie tak zwaną wolę narodu. Po przez przejściowe fantomy, monarchij konstytucyjnych, czyli rozdwojenia władzy, a więc i przeciwstawień np. króla — parlamentowi, jakie to rozdwojenia miały być asekuracją od tyranji, narody w stuleciu XIX i XX doszły logicznie do ustroju, w którym władza suwerenna przeszła całkowicie do parlamentów. Jedność rządu powstała nanowo. Parlament suwerenny, wyłaniający z siebie funkcjonarjuszów zmiennych i od siebie całkowicie zależnych, jest monarchą. Monteskiuszowy podział władz na ustawodawcze, wykonawcze i sądowe, mający regulować prawidłowość rządów, jest subordynacyjny, to jest podporządkowany zasadzie wyższej, jaką jest jedność rządu. Człowiek posiada wiele rodzajów zmysłów i odpowiednich organów zmysłowych, ale regulatorem ich wszystkich i to koniecznym jest jedność żywego organizmu. Myśl, odczucia, siły motorowe są to fakty subordynacyjne.

Inna rzecz, czy ciało zbiorowe i przypadkowe, jakim jest parlament, przedstawiciel suwerennej woli ludu, może de facto zapewnić ową konieczną dla dobra ogółu jedność rządu. Jest to zagadnienie torturujące nasze czasy, spadkobierca ustrojów rozdwojonych, czyli monarchiczno-konstytucyjnych, w których de jure odbywało się wielkie współzawodnictwo parlamentu z królem i przeciwstawianie elementu subordynacyjnego elementowi ordynacyjnemu. Zagadnienie, przy jego badaniu dalszem, sprowadza się do kwestji, czy opinja publiczna, zwana królową-opinją, matka demagogji, suwerenny wyborca do Parlamentu, jest siłą dostatecznie kompetentną?

Trzy wielkiego znaczenia fakty polityczne zaprzeczyły kompetencji opinji suwerennej. Pierwszym jest bolszewizm, którego pierwszym krokiem politycznym było rozwiązanie Dumy oraz narzucenie krajowi opinji imperatyzmu kategorycznego grupy osób. Drugim jest faszyzm, który również postawił imperatyzm własny, aczkolwiek w kierunku biegunowo przeciwnym, niż uczynili to bolszewicy, bo w kierunku solidarności klas, ale również przeciwko królowej-opinji. Trzecim faktem jest nowe konstytuowanie się Niemców, gdzie zachodzą bardzo poważne działania, dążące do nieskrystalizowanych jeszcze zmian definitywnych.

Cechą wspólną tych ruchów i tych faktów jest uznanie tego, co dotychczas nazywało się opinją publiczną, za małoletność i niekompetencję, oraz daleko idące usiłowania do państwowego jednolitego urobienia tej opinji do swoich celów — w każdym razie tylko jako siły pomocniczej, nie jako siły ordynującej.

(d. c. n) *J. Bończa.*

ROZWAŻANIA.

III. Polonez.

Pewnego dnia, wracając do mieszkania, spotkałem u drzwi człowieka, majstrującego przy zamku.

— Obywatelu rzeczypospolitej — rzekłem — omyliłeś się; w tym lokalu nie znajdziesz gotówki, a co do garniturów i bielizny, to wszystko jest przedwojenne.

Windula (nowy wyraz ludowy, zrobiony z „indywiduum") szybko uciekł po schodach. Nie ścigałem go.

Ale zamek już zepsuł. Musiałem wezwać ślusarza.

Majster był sympatyczny. Mój Puk obwąchał go i szczeknął tylko z powinności. Majster zaś przemówił doń dobrotliwie: „Kołtunie, kudłaczu, psia wełno". Kto lubi psy, nie może być zły.

Majster nazywał się wspaniale i alegorycznie—Zatrzask. Co za stary ród! Uczułem potrzebę wypić z nim po kieliszku śliwowicy.

— Co słychać w Polsce, panie majstrze?

— Pluję na to. Mój stary miał rację. Podobny był z lica do tego pana, który wisi u pana na ścianie.

— To jest hetman, Stefan Czarnecki, co to powstał ani z soli, ani z roli...

— A my, Zatrzaski, powstalim z żelaza, żelazna szlachta. Stary mój mawiał: „Józiek nie wódź ty się z socjalistami". A jam się złościł: „czemu nie mam z nimi iść, kiedy oni piorą Moskalów, a burżuje siedzą jak zające „pod miedzą, to kto teraz szlachta?" A stary na to: „szlachta ślubowała Najświętszej Pannie, a ty, pośwsiecie, komu ślubujesz? czy partji? a wiesz ty, co jest za partją, żyd, Niemiec, albo kto? Wiercisz dziury dla kogo świderkiem polskim?" Na takie gadanie starego brała mnie cholera.

— Od cholery jeszcze po kieliszeczku.

— Ale stary miał rację. Za ruska chodziło się, jak wilk, patrzyło się z podełba, albo lasiło się, jak kot z gotowymi pazurami. Ale siła u człowieka była i nawet wesołość, choć jutro śmierć. A teraz człowiek tarza się i pochrząkuje, jak świnia, jedna tłuściejsza, inna chudsza, ale zawsze świnia, to jest na rzeź. Wszystko, co się miało wygadać, już się wygadało. Moje dawne pepesy nie mają czego śpiewać. Panów i magnatów niema. Biedactwo siedzi po kątach i coś pod nosem mruczy i jak tatka czeka latka. Socjały zjedli burżujów i sami ciągle głodni. Bo mają w brzuchu żydowskiego solitera. Te znów śpiewaki narodowe treluja, siedząc na drzewach i udając kogutów, o wielkiej Polsce, kiedy dotychczas niema żadnej Polski. Urodził się jakiś dzieciak, karmi się i żółci, ale dotychczas głosu nie wydał, jak niemowa, przynajmniej z ust.

Tu Zatrzask łyknął haust.

— To nie jest żadna Polska, to jest świński targ. Zjeżdżają się ze wszystkich okolicznych, a nawet dalekich zbójectw handlarze: Amerykany, Angliki, Francuzy, Niemcy, Moskale. Żydy im faktorują. Manią, poklepują, oceniają towar i robią, jak piszą w gazetach, z nas eks-portki, czyli bilans handlowy. Czy pan myśli, że naród pospolity nie widzi codzień, kto wysiaduje na werendach z ciastkami, kto rozbija się samochodami, po Oazach? Kulfony, tłuście

O HYMN NARODOWY.

Czego nie mogły sprawić odosobnione wystąpienia publicystyczne zpoza matadorujących stronnictw politycznych, oraz klik i koteryj literackich, to sprawił nareszcie skandal publiczny.

W teatrze wileńskim zagrano Rotę Grunwaldzką (Konopnickie). Publiczność powstała. Nie podniósł się, demonstracyjnie, jeden tylko osobnik: p: Piotrowicz, kierownik wileńskiego wydziału wyznań. Skandal-alarm! Pan Studnicki wystąpił w monarchistycznem „Słowie" wil. z obroną „przestępcy". Poczem redakcja „Słowa" ogłosiła w sprawie Roty ankietę, której wynik ukazał się tamże p. t. „Przeciw niewłaściwym słowom w niewłaściwej pieśni". Patrycjat umysłowy wil., który w niej wystąpił, wypowiedział się jednomyślnie przeciw „niewłaściwym" słowom Roty (oczywiście mowa o „pluciu w twarz"), przytłaczająca zaś większość — także i przeciw pasowaniu Roty na hymn narodowy.

Przez ten wypadek, zaniedbana sprawa hymnu narodwego ruszyła z martwego punktu. Zabrała głos prasa warszawska. Szczególnie znamienne są głosy „Gaz. Warsz. Por." i „Polaka Katolika". Tamta piórem Nowaczyńskiego wystąpiła przeciw Rocie, przyczem rozszerzyła pole zapasów na sprawę hymnu nar. wogóle; ten, ku niemałemu zdumieniu czytelników, skruszył kopję w obronie Roty, w samym już nagłówku poświęconego sprawie artykułu wstępnego: „Wrogowie hymnu narodowego", traktując ją jako hymn narodowy, jakoby to była rzecz, już przesądzona przez ogół polsko-katolicki.

Sprawa ruszyła więc z martwego punktu, lecz wnet wpadła w chaos. Spróbujmy dać jego analizę widmową, by z niej wyciągnąć odpowiednie wnioski.

W oczach p. Nowaczyńskiego cała Rota ocieka germańską śliną z jej strofy ostatniej. W tem wyobrażeniu, słowa Roty są dlań wogóle „nie do zniesienia, upokarzająco rabie, niewolnicze, pokorne, defetystyczne". Tedy grzmi przeciw niej: „Tak mogą śpiewać murzyni, Hererowie, ale nie my! Tego rasie mocarstwowej śpiewać się nie godzi. Czas nam z tem skończyć. Te słowa napisała Konopnicka podczas Wrześni. Największe bezdno niewoli. Teraz państwo od Tater (sic) do morza. O germanieniu dzieci niema mowy. A ktoby nam plunął, oczywiście nie w twarz, ale na metr przed nami, toby stracił wszystkie trzonowe!"

Za tęgo, za pyszniel Niewolnicza pokora w Rocie? Pokora, która — według Mickiewicza — „jest psu zasługą, człowiekowi grzechem"? Nie, jako żywo! Jeżeli w Rocie jest coś, co trąci rabstwem, to jest to raczej hardy bunt raba. Wszakże i tego w niej niema. Natomiast grzeszy ona tą samą przeszarżowaną tężyzną, co i protest przeciw niej p. Nowaczyńskiego: Zawarty w Rocie obraz: plucie w twarz — streszcza w sobie całą ohydę moralną przeciwpolskiej akcji: buta, pięści i gęby prusaka. Jest w nim więc prawda, która jednak została wyrażona bez umiaru godności narodowej, tak iż ten wyraz prawdy, który miał napiętnować nikczemność wroga, dał w efekcie zniewagę jego ofiary.

Co za odskok od poglądu Now. na Rotę do poglądu pana (czy może pani?) efz. w „Polaku-Katoliku"

Publicysta „Pol. Kat." rozpływa się w zachwytach nad Rotą, nawet nad jej niezrównaną religijnością, którą upatruje w jej refrenie: „Tak nam dopomóż Bóg!" „Plucie w twarz"? Ech, drobiazg, który łatwo, drogą przeróbki, usunąć! Przerabiać Konopnicką? Gdzie ten barbarzyńca, któryby się tego podjął? Sit ut est, aut non sit!

Zresztą, można zgodzić się z p. efz., że do uznania Roty za hymn narodowy nie jest przeszkodą jej nieaktualność. Powiem więcej, ona właściwie jest wciąż aktualna — aktualnością niebezpieczeństwa germańskiego. Wraz z p. efz. można też pogodzić się z jej charakterem jedno-dzielnicowym, jeśliby uznać, że Niemcy są głównym przeciwnikiem Polski Zmartwychwstałej — hersztem jej przeciwników.

Nie w tem rzecz jednak! Grzech główny Roty, wybijający się na wierzch szczególnie jaskrawo w trywialnem „pluciu w twarz", oraz dyskwalifikujący ją jako pretendentkę do tronu hymnu nar. — to duch nienawiści narodowościowej, przed którym zamykają się podwoje świątyń; gdy hymn narodowy powinien na wstęp do nich zasługiwać, by dawał wyraz jedności Narodu z Kościołem. Z tem zgodnie, Wolną Polskę stać na majestat spokoju wobec wroga i na pozytywny wyraz miłości Ojczyzny w hymnie: taki, któryby się nie kłócił z Imieniem Boga, którego hymnowi narodowemu pominąć nie wolno.

A religijność Roty? Nieswojo jakoś Imieniowi Bożemu w Rocie! Mimo formalnej chrześcijańskości formuły przysięgi, stanowiącej jej refren, Bóg w ustach Konopnickiej budzi wątpliwości, zali to Bóg chrześcijan-katolików. Mętny refleks na jego tam Imię rzuca ów „duch", który ma nam hetmanić, a którym p. efz. się zachwyca. Z pewnością to nie Duch Święty, a kto wie, czy to nie duch bezwyznaniowy, liberalny, masoński! Bo trudno oderwać Rotę od imienia jej autorki i od tego wszystkiego, co to imię, w literaturze wielkie, reprezentuje pod względem religijnym.

Swoją drogą, obrona Roty, jako hymnu nar., i to przez „Polaka-Katolika", jest faktem, który trzeba zarejestrować. Dodajmy teraz do niej: mazurek Dąbrowskiego, uznany za hymn nar. przez Państwo; dalej „Brykadę", jak p. Now. przezwał pieśń „My pierwsza brygada", awansowaną na hymn nar. przez organizację Strzelca; dalej „Czerwony Sztandar", przyjęty w tymże charakterze przez P. P. S., i żagwiową piosenkę Gustawa Ehrenberga z r. 62 „Gdy naród do boju", forytowaną przez ludowców; wreszcie pokutujące dotąd stare „Boże coś Polskę", oraz torujące sobie drogi do uznania nowe „Boże coś Polskę", które wyszło z konkursu „Gaz. Warsz." w końcu r. 1918 i ma już swoją ciekawą historję: a będziemy mieli bałagan, jakich mało, będący smutnem świadectwem rozbicia narodowego.

Tymczasem oto p. Now. chce go jeszcze powiększyć. Odrzuciwszy wszystkich rywali i osądziwszy, jakoby nic z tego, co wydał wspomniany konkurs, się nie przyjęło, zapominając przytem, że hymn Alojzego Felińskiego napisany w r. 1815, przyjął się dopiero w latach 60-ych, — p. N. czyni nad całym owym bałaganem „Schwammdrüber" i wzywa Prytaneum Pisarstwa Polskiego do skomponowania hymnu całkiem nowego.

Czy ten pomysł o ileby został wykonany, nie powiększy istniejącego już chaosu, oraz jeśli się uda, czy nie doprowadzi do rozdziału Kościoła od Narodu na punkcie hymnu, o to p. N. się nie troszczy.

Trzeba bowiem wiedzieć, że Kościół w Polsce trzyma się jeszcze starego „Boże coś Polskę", ostatnio zaś, przez Komisję Biskupią do naprawy śpiewnika kościelnego, począł się orjentować ku nowemu. Doniosło o tem sprawozdanie moje ze Zjazdu Lubelskiego w tej sprawie w „Ateneum Kapłańskiem", w zeszycie listopadowym z r. 1926. Wątpić zaś można, czy szumne Prytaneum Pisarstwa Polskiego pod egidą laicką, mniej więcej liberalną, zdobędzie się na utwór, godny świątyni.

X. Charszewski.

---

le, szmulowizna, kasiarze i włamywacze, paskarze i złodzieje. A gdzie prawdziwe Polaki? Nie widać. A nasze dziewuchy, były to zawsze „psia kość", jak to baba, ale miały honor. Dzisiaj każda lezie sama, jak podkasana indyczka i smakuje, jak niedogotowany kartofel.

— Panie staruszku, naród skołowaciał i jest zły. Będzie rewolucja.

— Jakto? Komuniści z majufesem?

— Może i taka, ale prędzej inna, mocniejsza, polska.

— Jak pan to rozumie?

— Słowem nie wypowiem, ale czuję ją pod ziobrem. A słowo—to rzec powinni ci, co się uczyli po uniwersytetach i wiedzą więcej, niż my. Ale co? Inteligenty głuche, jak pień, ślepe, jak krety, futerka tylko na nich lśnią, aż wszystko pójdzie do kuśnierzów. Oj! jakby się to w Polsce chciało prać, na prawo i na lewo!

O śliwowico, trunku szlachetny i dostojny!

Nachyliłem się ku Zatrzaskowi i mówiłem cicho:

— Czy zna pan poloneza?

— Wiem, to taniec.

— Nietylko taniec, ale i melodja.

— Wiem, muzyka.

— Ale nietylko taniec i muzyka, lecz i ruch w takt, w miarę. Czy pan był na morzu?

— Pływałem.

— To widział pan, jak fale biją i biją, idą i idą. Ciągle i wiecznie. Kto im da radę, kto zmieni?

— Zdrowo to zdrowo! Strach tam, ale mocny, dobry strach!

— Oto wiedz pan, panie Zatrzask, że polonez, to jak te fale... Gra niewidoczna muzyka, niewiada gdzie, czy we wnętrzu ziemi, pod czarną rolą, czy w warsztacie przy turkocie maszyn, czy w niebieskiem powietrzu ponad ziemią. Ażeby ją usłyszeć, trzeba zatknąć uszy i słuchać. I znów z różnych miejsc urocznych i uroczystych, z kościołów, z zamków królewskich, z cmentarzów i mogił (widać to, gdy się zamknie oczy) wychodzi para za parą, niezliczony korowód miljonów ludzi wszelkiego stanu, wszelkiej maści, wszelkiego przyodziewku. Płynie to i płynie. A tak falując tanecznie, wchodzi na pola żniwne i mówi żeńcom: „chodźcie z nami". Żeńcy idą. Wchodzi do fabryk i mówi ludziom: „chodźcie z nami". Wszyscy idą. Wchodzi na ulice miast, na bruki kamienne, gdzie ziemia nie może oddychać i zabierają ludzi, kto Polak. Fala ta rodzi i topi, ale trwa... I tylko ona trwa dla Polaków na ziemi.

Polonez.

— Czy tego słowa inteligenta, jak pan mówi, dosyć dla pana, panie Zatrzask?

— Pański polonez, to moja rewolucja.

. . . .

Naród jakikolwiek nie ma żadnej racji samodzielnego bytu, jeżeli nie ma lub nie dąży do własnego stylu, własnej melodji i własnego rytmu. Jeżeli nie miluje swojego duchowego ja, jak my swojego poloneza, który jest naturalnym wyrazem jego genjusza. Sam podpisuje na siebie wyrok śmierci, zanim inne narody świadome siebie wyrok ten wykonają. Sama nazwa historyczna staje się czemś, jakgdyby napisem na blasze trumiennej. Nic nie znaczy.

Są dwa sposoby postępowania: Albo sami dalej rozwijać według sił, danych przez Boga, melodję przodków, albo na ten temat błaznować, np. chrzcić ulice dostojnemi nazwiskami dziejowemi, a na tych ulicach zakładać międzynarodowe tancbudy.

Ignacy Oksza-Grabowski.

Kara śmierci.

Dwa te słowa w niejednym zdolne są obudzić uczucie grozy i o dreszcz przyprawić.

Rację bytu kary śmierci rozpatrzmy ze stanowiska moralności chrześcijańskiej; nakazami której pokryją się, jak poniżej zobaczymy, postulaty zdrowego rozsądku. Wykrętów i sofizmatów t. zw. „prawniczych" uwzględniać nie będziemy.

Karą śmierci nazywa się pozbawienie życia człowieka na skutek wyroku sądowego.

Kara ta jest najsurowszą ze wszystkich kar, jako pozbawiająca człowieka skarbu najcenniejszego — to jest życia.

Cel tej kary jest podwójny: 1) zupełnie usunięcie jednostki ludzkiej i wyeliminowanie jej najpewniejsze z otaczającej ją społeczności, dla której dany osobnik stał się niebezpiecznym; 2) przestroga dla innych osobników, skłonnych do obrania sobie drogi życia, na którą wstąpił skazany na śmierć, czyli nie wahających się przed dokonaniem zbrodni.

Społeczeństwo otrzymuje zadośćuczynienie, że wielka kara została wymierzona za wielkie zbrodnie, oraz zyskuje pewność, że dana niebezpieczna dłań jednostka została raz nazawsze unieszkodliwiona.

Kara śmierci ma swą głęboką rację bytu.

Z punktu widzenia moralności chrześcijańskiej kara śmierci jest bezwzględnie dozwoloną, a to w imię zasady miłości bliźniego.

Św. Paweł wyraźnie powiada: „Jeśliś co złego uczynił—bój się, bo nie bez przyczyny miecz nosi" (władza). (Rzym. XIII. 4).

Etyka katolicka uznaje słuszność pewnych prerogatyw dla prawowitej władzy państwowej, do których poszczególne indywidua, to jest obywatele, żadnych pretensji rościć nie mają prawa.

Jedną z takich prerogatyw owej władzy jest prawo, a nawet i obowiązek w ważnych okolicznościach wydawania i ferowania wyroków śmierci. Bóg, pan życia i śmierci, przelewa tutaj swe prawo na władzę publiczną.

Władza państwowa ma obowiązek liczyć się zawsze i przedewszystkiem z dobrem ogółu. Dla tego dobra, rozumie się, zgodnie z etyką chrześcijańską pojętego, można i niekiedy trzeba poświęcać nawet i najwyższe dobro, czyli życie i zdrowie nietylko jednego indywiduum, ale i całych rzesz obywateli. Okolicznością ostatnią jest wojna, pierwszą—kara za zbrodnię czy zbrodnie przez daną jednostkę popełnione.

Na zarzut: „nie państwo dało życie obywatelowi, więc niewolno państwu nikomu życia odbierać", jest taka odpowiedź: „rzeczywiście, państwo nikomu życia nie daje, lecz z woli Bożej państwo ma obowiązek zagwarantowania swym obywatelom, między innemi drogą prawa, bezpieczeństwa życia, mienia i czci; wykraczający przeciw temu prawu, a osobliwie zdradzający szczególnie złą wolę lub zuchwalstwo, powinni podpaść pod odpowiednie sankcje".

Prawo bez sankcji zawsze będzie martwą literaturą. Prawo musi być sprawiedliwem. Bezkarność zbrodni jest zaprzeczeniem pojęcia sprawiedliwości.

Teologja moralna uczy, że przestępca, ponoszący karę śmierci, może ofiarować Bogu swe cierpienia moralne i fizyczne, jako pokutę za popełnione zbrodnie *), tytułem choćby częściowej spłaty długu, jaki u Boga zaciągnął przez dokonane przestępstwa.

Najwstrętniejszym, padalczo obrzydliwym zarzutem, czynionym Kościołowi i jego hierarchji, jest zarzut hypokryzji w stosunku do skazanego, któremu spowiednik odpuszcza grzechy, a Kościół jednocześnie sankcjonuje karę śmierci.

(D. c. n.). *H. Bartoszewski.*

*) Pięknie rozwija tę myśl J. hr. de-Maistre w dziele „Les soirées de St. Petersbourg"

Chluba Polski.

O generała Józefa Bema, spoczywającego nieśmiertelnie na cmentarzu mahometańskim w Aleppo toczy się rzadka emulacja. Chce go sprowadzić Polska pod Ternów, chcą i Węgrzy, na zamek Cosbanvar. („Generał Józef Bem" książka p. Włodzimierza hr. Bem de Cosban, wydawnictwo Z. N. Ossolińskich. Autor obiecuje napisanie wyczerpującej monografji generała). Chyba należy mieć pewność, że spocznie w Polsce.

Był to jeden z tych arystokratów nie tylko z pochodzenia, ale właśnie i z ducha, których czyny zaprzeczały absolutnie prawdziwości piosnki wzbudzającej waśni narodowe, więc pieśni złej, „o cześć wam panowie magnaci". Młodszy o jedno pokolenie od Henryka Dąbrowskiego stanowi z nim wojskowy duet historyczny tej świetnej epoki, gdy stara nieśmiertelna tradycja w młodych bohaterach ujawniła nietylko żywotność, ale poświęcenie i zdolności pognębionego narodu.

Bo generał Bem był wodzem na Polskę bardzo oryginalnym. Nie miał w sobie nic ani z popularności regimentarza Zagłoby, ani z teatralnych manier Skrzyneckiego, ani z fetyszyzmu dla obcych bogów Chłopickiego, ani z lekkomyślności pióropusza jakobińsko-demokratyczno-patrjotycznego Mierosławskiego. Był to wódz samodzielny w pełnem słowa znaczeniu, którego wielkim talentom i przymiotom charakteru oddali hołd wrogowie Rosjanie i Austrjacy, z którymi walczył. Człowiek na serjo. Gdy po zakończeniu kampanji węgierskiej, Turcja wezwała go do zreorganizowania armji, ofiarując mu stanowisko feldmarszałka (mussiry), dyplomacja Austrji i Rosji zaprotestowała przeciwko działalności „lwa z Lechistanu".



Generał Józef Bem (1794—1850).

Świadectwo daje o Bemie jego szef sztabu generał Czetz:

„Jadał zawsze sam. Ważył plany. Nikt o jego planach nie wiedział. Nigdy rady wojennej nie zbierał i dlatego żaden jego plan nie był zdradzony, bo nikt o nim nie wiedział. W służbie był bardzo surowy, ale sam dawał przykład. Nieraz kładł się na słomę w pierwszej lepszej chacie, sypiał krótko, gdy inni spali, on nad mapą ślęczał. Wymagał od podwładnych aż do przesady, ale nagradzał szczodrze i niespodziewanie. Sam nie pobierał żołdu, pieniądze rozdawał żołnierzom. Wielki żołnierz i szlachetny człowiek. Z usposobienia ponury, zimny, krótki i zwięzły w rozkazach. Co wyrzekł, tego nie cofał. Trudno ułaskawiał, oficerów za brak odwagi natychmiast degradował. Armja jego była z duchem i karna. Osobista jego odwaga przechodziła wszelkie granice.

„Energją panował nad wszelkiemi dolegliwościami. Codzień opatrywano mu niezagojone rany, mimo to ciągle jeździł konno dla niepoznaki".

Człowiek rasowy o przymiotach tak niezwyczajnych, krew pomorskich von Boehmów, węgierskich Thomasich i Cosbanów, polskich Gołuchowskich, ta koncentracja energji szlachetnej i wyższej; to panowanie nad sobą, nad ludźmi i nad okolicznościami nie usposabiały dlań przyjaźnie typu rozgrzanych do czerwoności, w gruncie rzeczy ograniczonych jakobinów-demokratów polskich, wichrzycieli wiecznych, mimo patrjotyzmu oddających niemal zawsze niedźwiedzie przysługi sprawie, którą jakoby kochali. Dwa razy właśni rodacy strzelali do „nikczemnego Polaka". Kubek w kubek było to samo i z Henrykiem Dąbrowskim. Jest to zatruta nić naszych dziejów. Wpływ fanfaronady rewolucyjnej francuskiej.

O generale, który sam jeden, nie straciwszy głowy w klęsce Ostrołęckiej, ocalił całą armję od zagłady, nie puszczając Rosjan przez Narew, pisało pismo emigracyjne „Orzeł Biały" w Brukselli (№ 7):

„Wiadomo nam jaknajdokładniej, że go (Bema) jakaś siła dumy czy próżności, jakaś manja czy gust do magnaterji, na lat jeszcze kilka przed powstaniem, ku pałacom dzisiejszych bałamutów stronnictwa dynastycznego pociągały. Widzieliśmy, że go i na wygnaniu ten pociąg nie odstąpił. A kto... jeszcze w podłem krwią polską frymarczeniu udział bierze, temu z góry już wiadomo być powinno, na jakiej karcie, między jakimi potworami dzieje narodu nazwisko jego zapiszą i późniejszym pokoleniom ku wiecznej przekażą wzgardzie!"

Zacietrzewienia partyjników. Przejrzyjmy się dzisiaj w zwierciadle. Sprowadzamy Bema. Czy nie należałoby zapytać właściciela trumny, czy on da na to swoje zezwoleństwo?

W liście do swego adjutanta, Al. hr. Teleky, na kilka miesięcy przed zgonem, datowanym z Aleppo, generał Bem pisze (podajemy urywek treści ogólnej):

„Przez Wysockiego i jemu podobnych, każdy mój czyn sądzony jest już z uprzedzeniem, bo zawsze dla nich jestem arystokratą i rojalistą; nie chcą oni tego zrozumieć i nigdy nie rozumieli, że przedewszystkiem jestem żołnierzem i dobrym Polakiem. Jeżeli zaś byłem i pozostałem rojalistą, to nie przeszkodziło mi to jednak walczyć i nadstawiać głowy za wolność uciśnionych ludów, inaczej tylko tę wolność pojmując, niż nasi demokraci i zarażona przez nich część naszej młodzieży. Stąd też cała ich niechęć do mnie. Chciałbym, ażeby ten głos mój dotarł do młodzieży węgierskiej, która tyle zawsze pokładała we mnie ufności i by uchronił ją od tych przepaści, w jakie mogą stoczyć Polskę moi niedojrzali rodacy. Niech więc wypisze ona na swoim sztandarze, jako hasło, walkę o niepodległość Węgier, o własnego króla, oraz o prawa konstytucyjne nietylko dla Węgrów, lecz i dla zamieszkujących wśród nich innych narodów; ale niech pozostanie zimną na hasła walk o ustrój republikański i o idee demokratyczne, bo do niczego innego, jak do anarchji w kraju, wszystkoby to doprowadziło. Obserwowałem i studjowałem w latach emigracyjnych w różnych krajach Europy los włościan i robotników, tych klas, czujących się najgorzej, i doszedłem do wniosku, że konstytucyjne monarchje są w stanie polepszyć ich los równie dobrze, jak republiki. Natomiast ustrój demokratyczny osłabia w oczach tychże klas niższych powagę, autorytet i urok władzy, co wywołuje lekceważenie jej, samowolę mas i jednostek, a w rezultacie anarchję, przez co osłabienie państwa. To też gdyby nastała epoka ustrojów republikańskich i demokratycznych w Europie, to Węgrzy nic na tem nie stracą. Jeżeli będą ostatnimi w szeregu narodów decydujących się ustrój ten przybrać, przeciwnie zyskają na tem, nie robiąc karkołomnych doświadczeń na własnym organiźmie, a obserwując tylko rezultaty tych doświadczeń u innych. Kiedy epoka ta minie, one będą silne, a tamte przemęczone i wycieńczone. Kilka razy w życiu brałem udział w rewolucjach, ale każdą z nich traktowałem tylko jako „malum necessarium" do uzyskania praw konstytucyjnych dla tyranizowanych przez autokratów narodów, nie zapominając nigdy, że wieczny rewolucjonista i tak zwany demokrata jest złym patryjotą własnego kraju, że natomiast tylko konstytucyjna i dynastyczna monarchja daje siłę i równowagę każdemu państwu, a wszystkich jego obywateli odpowiednio do ich potrzeb zaspakaja".

Słowa te gen. Bema nic nie straciły przez czas. Owszem dojrzały.

Gr.

Z okazji wydania 100-go numeru „Pro Patria", nadesłali swe życzenia, wobec niemożności przybycia w dniu 5 b.m. do Warszawy, p.p.:

E. Zieliński z Rembieszowa, generał Dowbór-Muśnicki z Poznania, F. Rawita-Gawroński z Józefowa, ks. Jan Langier z Babiaku, Antoni Loster z Gniezna, hr. Z. Kurnatowski z Gościeszyna, M. Wiesiołowski z Brześcia n/B., hr. Skórzewski z Włocławka, H. Gosek z Częstochowy, B. Kwitniowski z Cieszanowa, S. Wilczek z Przemyśla, J. Ciołek-Żelechowski z Krakowa, ks. Ignacy Charszewski z Włocławka, F. Kittel z Gdańska, inż. W. Pietraszewski z Wilna, inż. Jerzy Hoser z Grodziska.

Errata. W № 101 „Pro Patria" mylnie wydrukowano: Na str. 2, w szpalcie 3, w wierszu 24 od góry „przyspieszenie" — zamiast „przywilejenie". Na str. 4, w szpalcie 1, w wierszu 9 od góry „moglibyśmy"—zamiast „mogliśmy". Na str. 5, w szpalcie 1, w wierszu 45 od góry „trudny"—zamiast „brudny".

Redaktor: **Henryk Olszewski.** Wyd.: Polska Spółdzielnia Wydawnicza w Warszawie, Traugutta 3

Druk. „Reduta", Traugutta 3. Tel 40-39.